

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Stanczewskiej.

TOM I.

27

Odczuwała przyjemność w przysłuchiwaniu się im bezpiecznie, jak przez dziurkę od klucza. Zazwyczaj starała się zwrócić na siebie uwagę mężczyzny, który był przy niej. Dzisiaj pragnęła, żeby rozmowa jej męża z Barondi'm ciągnęła się w nieskończoność, gdyż dziwne uczucie zadowolenia i spokoju zaczynało ją ovladać po gorzkim zawodzie i gniewie, którym uległa. Zdawało się jej, że podczas jej spoczynku w ciemnym pokoju blisko fontanny, hipnotyczna ręka jej się dotknęła i trzymała do tej pory. W rzeczywistości, była już pod urokiem czaru w dehebiach, chociaż o tem nie wiedziała. Dahabijeh jest domem marzenia i spokojnego fizycznego zadowolenia. Mrs. Armine była bardzo zmysłową kobietą i czuła na wszystkie zmysłowe wrażenia; i teraz, podczas gdy mąż jej rozprawiał z zapalem o życia pracowitem i czynnem, otrzymywała od Nilu dary fizycznego rozleniwienia i ciszy. Jej ciało nie poruszało się, nie pragnęło się poruszać w głębokim, wysłanym poduszkami fotelu, było jakby po wstrząśnięciu moim; lecz jej umysł pozostał żywy i sądził zdolności tych dwóch mężczyzn. ciągle poszukiwał odpowiedzi na „dlaczego?” kiedy Nigel w końcu zawołał:

— W każdym razie mam zamiar wyjechać jutro nocnym pociągami. A pan? Kiedy pan popłynie w górę rzeki?

— Dzisiaj w nocy.

— Do Arnaut?

— Do Arnaut, na parę dni; następnie dalej; mam interesa blisko Kom Ombo. Zabawię jakiś czas, później pojedę w dół do Assiont. Nie mam już tutaj nic do roboty.

— Pan ma interesa i w Assiont?

— O tak! W Assiont mam ich dużo. I trochę wyżej stąd na zachodnim brzegu mam ich także.

— Pola?

— Posiadam tam pomarańczowe ogrody.

Dziwię się, jak pan może zarządzać tem wszystkimi... cukier, bawełna, domy, faktorie. pan sam wgląda we wszystko?

— Gdzie oko pańskie nie patrzy, oko sługęcego się odwraca. Czy pan tego nie znajduje w Fayum?

— Będę wiedział za dwa lub trzy dni.

Nigel zwrócił się nagle do żony.

— Słysz — rzekła zwolna — zapomnieliście o mnie zupełnie, lecz ja wam się przysłuchiwałam.

Wyprostowała się i położyła ręce na szerokich poręczach fotelu.

— Otrzymałam naukę — dodała.

— Naukę? — rzekł Nigel.

— Naukę pokory.

Obaj mężczyźni prosili, żeby powiedziała co przez to rozumie, lecz nie chciała zaspokoić ich ciekawości.

— Macie dość rozumu żeby zgadnąć — było jej jedyną odpowiedzią. — Musimy iść Nigel. Słońce prędko zajdzie. Wkrótce rzeka przemieni się w złoto.

Ostatni wyraz wymówiła wolno, jakby z lubością, patrząc przytem na Barondi'ego.

— Nie zechce pani zostać i patrzeć stąd na zachód słońca, madame? — zapytał.

— Jestem pewna, że pan ma dużo do roboty. Słuchałam w pewnym celu i wiem, że pan jest człowiekiem do interesów i ma niewiele czasu na towarzyskie niedorzeczności, które zajmują umysł kobiecy. Czuje się prawie winną za zabranie jednej z pańskich godzin.

Nigel pomyślał, że w jej głosie przebijała się lekka uraza.

Barondi powiedział grzeczny frazes, w zwykły mu obojętny sposób, spokojny a oderwany, lecz nie zatrzymywał dłużej i Nigel czuł, że rzeczywiście musi mieć dużo zajęcia przed sobą... może przygotowanie do wieczornego odjazdu. Stanowczo nie był wielbicielem kobiet, lecz śmiałym aferzystą, który lubił życie i wiedział jak postępować z mężczyznami.

Pożegnał się z nimi na pokładzie.

Wstępując do feluki, która na nich czekała,

Mrs. Armine nie mogła się powstrzymać, żeby nie podnieść głowy i spojrzeć na dziwne arabskie złote litery nad drzwiami, przez które znowu przeszła.

— Przeznaczenie każdego człowieka jest uwiązane u jego szyi.

Barondi poszedł za jej wzrokiem i uśmiech bez radości ukazał się na jego pełnych wargach, poczem znikł, pozostawiając na twarzy wyraz niezmaconego spokoju.

Tej nocy, w chwili kiedy księżyc wschodził, Lonlia jaśniejąc licznymi światłami, przepłynęła pod ogrodem willi Audrond i znikła w ciemności, płynąc na Południe.

Następnego wieczoru, pociągami pospiesznym, idącym do Kairu, Nigel wyjechał do Fayum.

XVI.

Po odpłynięciu Lonlii w górę rzeki i wyjeździe Nigla, zupełna samotność i pustka złotych dni, otoczyła Mrs. Armine.

Zeszła do saloniku, ubrana jak do spaceru, jazdy, siedzenia pośród ruin, zajmowania się ogrodnictwem, słowem każdego czynnego zajęcia. Nie miała żadnego wyraźnego planu. Była tylko zupełnie swobodną i gdyby jej się zachciało spaceru, czy czegoś podobnego, była gotowa. Tymczasem usiadła na terasie i patrzyła po przez ogród.

Nie widziała nikogo ze swego miejsca. Ogrodnik był przy swej robocie, lub odpoczywał w jakim zakrytym miejscu, spokój panował w całym ogrodzie.

Dzień był złośliwy, niewypowiedzianie jasny i radosny, drgający światłem i życiem. Była swobodną. O pierwszą myśl, która ją uderzyła. Przez ten czas Nigel musiał już dojechać do Kairu, wieczorem przybędzie do tego bajecznego Fayum, o którym się tyle nasłuchiwała, że stał się dla niej jakby moralnym symbolem. W Fayum nad wodą grał egipski Pan na flecie, Fayum zamieszkiwała natura, zwolniona z pięty cywilizacji. I może zaraz, jutro, Nigel zacznie przygotowania na jej przyjęcie i zamieszkanie... gorączkowe przygotowanie, by ją zabrać „prosto do natury” jak się wyrażał. Starannie wypielegnowanymi palcami dotknęła się ubielonego policzka i rozmyślała nie bez ironii o dziwnych kolejach ludzkiego żywota. Jaki chochlik wziął ją za rękę i zaprowadził do namiotu w Fayum, gdzie będzie mieszkała z mężem, płonącym świętym ogniem entuzjazmu? Bezwarunkowo czułaby się więcej u siebie na haftowanych poduszkach, wciągając do swych nozdrzy mdłą, lecz ciężką woń wschodu, słysząc szmer fontanny, podczas gdy jej umysł, czy duch, czy dusza, czy cokolwiek to było, w styczności z drugim „jakimkolwiek był”, płonąłby ogniem, który mógł ją spalić, lecz nigdy oczyścić.

Co za cudowny, złoty dzień! Tego rana odczuwała dobroczynny wpływ niezrównanego klimatu daleko wyraźniej niż kiedykolwiek. Dlaczego? Skutkiem nieobecności Nigla, czy też dla jakiej innej przyczyny? Pomimo że zadawała sobie to pytanie, nie szukała odpowiedzi; powietrze wlewało w nią subtelnie rozkoszną obojętność — złoty spokój „co mnie to obchodzi”. We wschodnim domu Barondi'ego ściskając palcami jedwabne poduszki, coś w niej mówiło: „muszę wycisnąć złoty sok z każdego mijającego roku”. Tego dnia było kilka kropel złotego — kilka kropel, które musi wycisnąć, które jej spragnione wargi muszą wypić. Łata przeleca, i nadejdzie czarna, wieczna nicość. Musi zwrócić całą swą uwagę na radość i mogąc się stać jej udziałem, w krótkim przeciągu czasu, który jej pozostał — w krótkim przeciągu czasu, gdyż była kobietą, i miała przeszło czterdzieści lat.

Namiat w Fayum z Niglem! Nikt więcej tylko Nigel! Całymi dniami zupełne osamotnienie z Niglem! Z człowiekiem, który ją „w to wpa-kował”. I życie od niej ucieka!

Myślała o tem i dusza jej potępiła to, jako los nieodpowiedni dla niej. A jednak, czuła się spokojną w głębi, pomimo że powierzchnia była zamacona. Błękit, złoto, ciepło, połączone z uczuciem swobody, nie mogą być pokonane przez żadną myśl czarną i nieszczęśliwą, ani jakakolwiek obawę. Chwilami miała wrażenie, że się starała czuć gniewną i starała daremnie. Była zupełnie swobodną w tym świecie złota. Jak użyje tej wolności!

W złotej ciszy ogrodu usłyszała lekki szelest, spojrzała wkoło, i zobaczyła Ibrahima, który, uśmiechnięty, z głową trochę na lewe ramię zwi-

szoną, do niej zwolna się zbliżał. Za uszami miał zatknięte dwie róże, w rękę trzymał różę i niezapalony papierosa.

— Co będziesz dzisiaj robił Ibrahim? — zapytała leniwie Mrs. Armine.

Ibrahim się zbliżył do niej, stanął, patrzył na dół, w swój wdzięczny, indywidualny sposób. Poglądził wprzód swego „dżelabich”, podniósł różę, powąchał ją i rzekł niskim, kontraltowym głosem:

— Popłyniemy na drugi brzeg rzeki my Lady.

— Tak?

— Zabierzemy z sobą śniadanie; wyjedziemy na cały dzień.

— Oh! a co będzie z herbatą?

— Zabierzemy ją ze sobą w butelce, która wygląda jakby zrobiona ze srebra.

— Srebro i — złoto — szepnęła, patrząc w przestrzeń, gdzie leżały Teby, w objęciach bożkości.

— A kiedy wyjedziemy, Ibrahim?

Spojrzał na nią i jego łagodne wargi rozchyliły się, ukazując olśniewające zęby.

Kiedy pani będzie gotowa, my Lady.

Spojrzała na jego twarz. Ibrahim miał dwadzieścia lat, lecz pomimo swego wysokiego wzrostu i wypróbowanych zdolności dragomana, wyglądał na chłopca. Wszysko w nim przypominało raczej chłopca, niż młodziana. Jego długa, smukła, wiotka postać, długa, brunatna szyja, mała głowa, pokryta czarnym, kędzierzawym włosiem, wyraz zazwyczaj uśmiechniętych oczu, nawet jego spokojne ruchy, chód, sposób siadania i wstawania, wszystko wskazywało, lub zdawało się wskazywać, że był chłopcem. I było coś bardzo pociągającego w tej jego wielkiej młodzieńczości. Wzbudzał w każdym zaufanie.

— Jestem gotowa.

Mrs. Armine mówiła zwolna, wciąż patrząc na Ibrahima.

— Ale czy jest feluka, żeby nas zabrać? — dodała.

— Za cztery lub pięć minut my Lady.

— Dasz mi znać, jak nadejdzie. Pozostawiam tobie wszystkie przygotowania do lunchu i do herbaty.

— Wszysko, czego pani zapagnie, musi mieć, my Lady.

Czy to była przyjęta formułka Ibrahima? Tego dnia zdawał się wymawiać te wyrazy z większym niż zwykle przekonaniem, jakby z ukrytym znaczeniem. Wiele w nim było istotnego dzieciństwa? — myślała Mrs. Armine, idąc na górę. Nigel jej powiedział: „Rozkwitasz tutaj” i dodał: jesteś piękna, lecz nie ufasz własnej piękności. I to było może prawdą. Dzisiaj będzie sama z Ibrahime i egipcyanami; będzie zupełnie swobodną i przyszła jej myśl, siedząc na tarasie, zetrzeć wszelkie szminki z twarzy, zanim feluka będzie gotowa. Weszła do swej sypialni i zamknęła drzwi.

— Feluka już nadpływa, my Lady! — zawołał w dziesięć minut później Ibrahim z tarasu; podszedł pod dom i powtórzył wołanie.

— W tej chwili schodzę.

Przeszło znowu dziesięć minut i Mrs. Armine się ukazała. Twarz jej okrywał biały welon.

— Czy wszystko gotowe? Ibrahim.

— Wszysko.

Wszedli do Feluki i przepłynęli wszcz rzekę. Na zachodnim brzegu, stał Hanza, modlący się poganiacz osłów, trzymając dwoje tych zwierząt wspaniale przybranych i oczekiwał ze spokojem.

Mrs. Armine, przy pomocy Ibrahima, wysiadła z feluki, która zaraz odpłynęła na drugą stronę. Wioślarze śpiewali niskim, prawie tragicznym głosem, pochylając się nad ogromnymi wiosłami. Głosy ich umikły w oddali. Mrs. Armine stała przy brzegu, słuchając ich śpiewu. Kiedy przeciągle diminuendo przeszło w monotonny szmer, którego już uchwycić prawie nie mogła, odwróciła się z westchnieniem; miała wrażenie, że ostatni węzeł, łączący ją z cywilizacją, został rozwiązany i że jest pochwyconą przez suche, gorące ręce Wschodu. Odwracając się, zobaczyła tuż przed sobą stojącego bez ruchu jak posąg, Hanzę, z utkwionymi w nią wielkimi, poważnymi oczami.

— Niech dzień pani będzie szczęśliwy!

Wypowiedział to pozdrowienie arabskie poważnie, ze spokojem. Mrs. Armine podziękowała w angielskim języku.

(Ciąg dalszy nastąpi).